



Dome Peak, czyli,, krzakowanie

Wydane w miesięczniku ludzi gór "Góry i Alpinizm" nr 92"

Jest pierwsza trzydziestka w nocy, słysze już tylko jak żona wyciąga budzik-„Wstawaj!!! No, wstawaj!!!. Po chwili dostaje porządny łokieć w zebra-rutynę! Nie mam wyjścia, złazę z łózka, aby tylko dojść do kuchni, a tam już kawa. Dopiero po drugim kubku dochodzę do siebie i znajduję energię, by coś ubrać. Dzięki Bogu graty są już w samochodzie, jest czas na jeszcze jedną kawę i waflę. Po drodze do Krzyska ładuje w siebie płyny, zastanawiam się, po co ja to robię? Krzysiek ma już szpej przygotowany na zewnątrz domu, widac tylko światło w kuchni. Obejmuje nas rutyna, pakujemy jego rupiecie do samochodu i w drogę.

Przez pierwsze trzydziestki minut jazdy nawet ze sobą nie rozmawiamy, teraz to Krzysiek dochodzi do siebie. Bujamy się tak przez dwie godziny, najpierw autostrada, potem droga asfaltowa, następnie szutr; kończymy porządnymi wertepami. Zajeżdżamy na lesny parking, wystawiamy sezonowy bilet za parking, pakujemy plecaki, jeszcze więcej płynów i w drogę. W pierwszej fazie drogi mamy do pokonania dziesięć kilometrów w pięknym starym lesie, ładny szlak, płasko. Idziemy tak może z piętnastu minut a tu nagle przed nami wyskakuje przestraszony misiu. Szybko ucieka na drzewo, nie wiem czy on się nas bardziej przestraszył czy my jego? Jest od nas oddalony może może dziesięć metrów, straszy nas swoimi klami, pomrukując. Po rozmiarze wygląda na dwuletnie ciele. Po chwili realizacja - A gdzie MAMA??? Teraz to my mamy pietra, wycofujemy się trochę, a misiu powoli gramoli się w dół. Następnie z szybkością każdego szanującego się misia wali w dół doliny, słychac tylko łamanie krzaków.

My też oddalamy się w nieco szybszym tempie niż zazwyczaj, zaczynamy się uspokajać, wchodzimy w rytm podejścia, rozmawiamy o czymś tam, a tu nagle kartka na szlaku „Szerszenie na szlaku, gniazdo w zboczu” No nie, Krzysiu, tego to nie było!! Skoro ja

straszyłem misia, Krzysiek został wybrany to walki z nalotem, dzięki Bogu obyło się bez ukaszeń, tylko mała zadyszka. Na nasze szczęście powracamy do tej naszej rutyny, sprawdzamy mapkę, wysokościomierz, liczymy potoki. Po niespełna dwóch godzinach marszu przepławiamy się przez potok i znajdujemy właściwy „szlak” w górę. Stary jest, ledwo go widać, masa położonych drzew, miejscami jest nawet bagnisto. Powoli wychodzimy z boru, jest coraz więcej krzaków, korzeni i wielkich kamoli porośniętych krzakami i mchem. Pomimo trzymania dystansu co jakiś czas dostaje galezia w łeb - A tego to nie lubię. Zmieniamy się, teraz to Krzysia kolej na otrzymanie w pysk, cierpi dzielnie - tylko słysze przekleństwa.



Przebijamy się w następne pole krzaków - tym razem ciernistych, trzeba uważać! Co jak co zona mnie nie chce w domu ze sznytami na twarzy! Ale rękawiczki pomagają i rezolutnie dochodzimy do kolejnej polacji krzaków, tym razem jagodowych, a to nie dobrze!! Bo Krzysiek jest strasznie łasy na jagody!! Ok, przerwa i jagody na siedząco, bo tyle ich jest tu że nie trzeba wstawać! Po dwudziestu minutach jagodowej rozkoszy - w drogę, ponaglę partnera. Wspinamy się nadal szlakiem wijącym się w nieskończoność w roślinnej jungli, dolina się powoli zżewa a my wychodzimy wreszcie z tych piorunskich krzaków. Pniemy się do przełęcz, jesienne kolory zaskakują Krzyska jak i mnie, ponad nami lata piszczący orzeł. Przełęcz jest zalesiona i znowuś te jagody, przerwa - poddaje się rozkoszy. Schodzimy stromym szlakiem 500m w dół przepięknego jeziora ukrytego w niecce. W obozowisku nad jeziorem poznajemy paru wędrowców, zamieniamy parę słów i heja w górę. Te ostatnie 750m wspinaczki do grani wysysa z nas resztki sił. Nareszcie, po dziewięciu godzinach marszu doszliśmy do obozu na grani, wokół ani duszy, tylko piszczące świstaki.



Przed nami rozposciera sie niesamowity widok na Dome Peak wraz z jego lodowcem oraz dziesiatkami innych szczytow polnocnych Gor Kaskadowych. Widoki widokami a jesc trzeba, jak zwykle zabieram sie do gotowania. Czerwony barszczyk prosto z Polski, mala konserwa, ryz i biesiada. Robimy zdjecia przed zachodem slonca i lulu bo trzeba wczesnie wstac.

Jak zwykle o piatej rano, zegarek nie jest bardzo lubianym przedmiotem, tym bardziej jak sie nie wie jak sie go wylacza. Dopiero halas kuchenki i porzadny kop od Krzysia stawiaja mnie na nogi. Sniadanie, kakao i w droge po nie konczacych sie polach rumoszu, glazow i stromej trawy. Po niespelna godzinie dochodzimy do kieszonkowego lodowca. Lodowiec nie wyglada na stromy czy popekany ale wiazemy sie lina na wszelki wypadek. Lina jednak sie przydala bo w gornej czesci lodowiec strasznie popekal blokujac przejście bergszrundem. Po przejściu lodowca rozwiązujemy sie idac bardzo luznym rumoszem, decydując się na droge „latwa” grania w gore. Od początku wszystko sie wali, ale wielkie bloki skalne powyzej daja złudzenie mocnej i solidnej skały. Nagle slysz ROCK!!! Glaz wielkoscí malego Fiata wali prosto na mnie. Na moje szczescie odbil sie od sciany i polecial w odchlan lodowca. K...a Krzysiu!! Co ty robisz? Chcesz mnie zabic? Odpowiedz dostaje bardzo prosta i zwiezla „f@#k you!!

Wszystko jest luzne, wielkie glazy i te mniejsze poupychane pomiedzy nimi, dotkniecie czegokolwiek powoduje nawalnice piaskowo-kamienna. Shit!! Jak to sie wszystko razem trzyma? Nie ma mowy, tym syfem to nigdzie nie zajdziemy. Związujemy sie ponownie i odbijamy lodem do sniegu, na nasze szczescie te nasze dwie sruby lodowe wystarczaja na treawers. Prawda jest taka „Gdzie dwuch Polakow tam i maliny” To co powinno nam zajac piec minut sniegiem, zajelo nam prawie godzinie na tej grani. Na szczescie juz bez problemow dochodzimy to horyzontalnej grani szczytowej. Fantastyczne miejsce, waska eksponowana gran, czysta skała a pod nami lodowiec po jednej stronie i odchlan zapadliska po drugiej.



Na szczycie jest tylko miejsce na jedna osobe, wpisujemy sie na liste zdobywcow i wyrzewamy sie na sloncu. Z wpisu wyglada na to ze pomimo dobrej pogody nie bylo tu nikogo od miesiaca, a to dziwi. Jeszcze pare fotek i trzeba zlazic. Robimy jeden zjazd na linie przyczepionej do luznej plyty, obydwaje sramy w portki ale jakims cudem obylo sie bez komplikacji. Po okolo dwuch godzinach marszo-biegu jestesmy z powrotem w obozie. Wyjadamy wszystko co mamy, sytuacje pogarsza fakt, ze Krzysiu zapomnial w samochodzie swojego obiadu i trzeba sie dzielic. Oj stary! My za to zaplacimy za pare godzin marszu. Nic, toczymy sie w dol do jeziora i po uzupelnieniu plynow prujemy w gore do przeleczy, powoli ucieka ze mnie powietrze, kolana trzeszcza az chce sie stanac-choc na minute odpoczynku, ale jakos puknelismy to podejscie na raz.

Teraz to tylko w dol!! No i polaci jagod! Oby tylko przejsc przez te krzaki przed zmrokiem, bo inaczej to sie pogubimy! Prujemy w dol czym predzej do tych jagod, kolana juz nie wytrzymuja tepa, plecak zaczyna coraz bardziej przypominać o swojej obecności na moich plecach. Nie robimy przerw ani postojow az nie dojdziemy to wielkiego pola jagodowego w dolinie. Po dwudziestu minutach jagodowej biesiady kontynuujemy nasz marsz-katorge, jestesmy ponownie w gestym lesie z powalonymi drzewami, robi sie coraz ciemniej. Zakladam czolowke, Krzysiek w miedzyczasie wyrwal do przodu bez lampki, po paru minutach slysze nawolywania z glebi lasu. Oczywiscie- sierota sie pogubila w ciemnosci na zakretach. Juz razem i z oswietleniem przeprawiamy sie przez potok, tym razem juz bez ceregieli - walimy prosto wplaw. Dostaje od Krzyska wyblagany odpoczynek, brak jedzenia daje sie odczuc, energia spada z minuty na minute, zostalo nam „tylko” dziesiec kilometrow plaskiego szlaku.

Przystajemy co trzydziesci minut, zmeczenie dyktuje tempo i przerwy. Tak naprawde to nic dzisiaj porzadnego nie jedlismy, a jagody to nie weglowodany. Nie myslimy juz o misiui czy szerszeniach, liczymy tylko minuty i godziny naszego marszu. Z glodu i wyczerpania zaczynam sie zataczac i gadac od rzeczy. Krzysiek nieublaganie pogania w droge, mobilizujac mnie pochwalami pomieszanyimi z wyziskami. Hey! It Works!!

I tak w tym amoku, po osiemnastu godzinach katorgi doczłapaliśmy się do autka. W ciepłym samochodzie ogarnia mnie sen i jeszcze gorsze zmęczenie - oczy same się zamykają. Plan transportu do domu jest następujący - Ja jadę - Krzysiek gada i szturczy, do tego radio na pełną parę. Początkowo werbeli nam pomagają, potem cisza asfaltu. Po niespełna trzydziestu minutach jazdy, zostałem tylko ja i radio - Krzysiek odjechał.

W tej sytuacji zatrudniam moją asę - okno na oszczędność!!! Szukam pierwszej lepszej otwartej stacji benzynowej, wracam pamięcią do wspinaczki, myślę o ciepłym wyrywku w domu. NARAZ - błysk światła, daję po hamulcach!! K...a Krzysiek, miałeś mnie pilnować! Stoimy tak przerażeni w środku drogi, tak naprawdę nie mając pojęcia co się stało. Jak się okazuje stanęliśmy naprzeciwko całodobowej stacji benzynowej. W niespełna minutę jesteśmy w środku jedząc coś popadnie, szczęśliwi że żyjemy.